

Antoine de Saint-Exupéry

Mały książę

BRYK 



Książka dostępna na stronie [Bryk.pl](https://bryk.pl)

Leonowi Werthowi

Proszę dzieci, aby mi wybaczyły, że dedykuję tę książkę dorosłemu. Mam niebagatelne usprawiedliwienie: ten dorosły to mój najlepszy przyjaciel na świecie. Mam też inne usprawiedliwienie: ten dorosły potrafi wszystko zrozumieć, nawet książki dla dzieci. Mam jeszcze trzecie usprawiedliwienie: ten dorosły mieszka we Francji, gdzie cierpi głód i chłód. Bardzo potrzebuje pociechy. Jeżeli wszystkie te powody okażą się niewystarczające, chętnie zadedykuję tę książkę dziecku, którym był kiedyś ten dorosły. Wszyscy dorośli byli najpierw dziećmi. (Ale niewielu z nich o tym pamięta.) Poprawiam więc dedykację:

Leonowi Werthowi

z czasów, kiedy był małym chłopcem

I

Kiedy miałem sześć lat, zobaczyłem pewnego razu wspaniały obrazek w książce o dżungli zatytułowanej *Historie prawdziwe*. Przedstawiał węża boa połykającego lwa. Oto kopia tego rysunku:

W książce tej napisano: „Wężę boa połykają zdobycz w całości, bez przeżuwania. Potem nie mogą się ruszyć i zapadają w półroczny sen, w czasie którego trawią”.

Odtąd sporo rozmyślałem o przygodach w dżungli, aż w końcu udało mi się nakreślić kredką mój pierwszy rysunek. To był mój rysunek numer 1. Wyglądał tak:

Pokazałem swoje arcydzieło dorosłym i spytałem, czy ich przeraża.

— Dlaczego kapelusz miałby być przerażający? — odpowiedzieli.

Mój rysunek nie przedstawiał kapelusza. Przedstawiał węża boa trawiącego słonia. Wobec tego narysowałem wewnątrz węża boa, aby dorośli mogli to zrozumieć. Zawsze trzeba im wszystko wyjaśniać. Mój rysunek numer 2 wyglądał tak:

Dorośli poradzili mi, żebym przestał się zajmować rysowaniem otwartych albo zamkniętych węży boa i zainteresował się raczej geografą, historią, rachunkami i gramatyką. Tym sposobem zarzuciłem w wieku sześciu lat wspaniałą karierę malarską. Zniechęciło mnie niepowodzenie mojego rysunku numer 1 i rysunku numer 2. Dorośli

nigdy niczego sami nie potrafią zrozumieć i wciąż trzeba im coś objaśniać, co dla dzieci jest bardzo męczące.

Przez to musiałem obrać inny zawód i nauczyłem się pilotować samoloty. Obleciałem nieomal cały świat. A geografia, przyznaję, ogromnie mi się przydała. Już na pierwszy rzut oka potrafiłem odróżnić Chiny od Arizony. Bardzo to praktyczne, jeśli człowiek zabłądzi w środku nocy.

Tak oto miałem w życiu mnóstwo kontaktów z mnóstwem poważnych ludzi. Zebrałem sporo doświadczeń wśród dorosłych. Obserwowałem ich naprawdę z bliska. To niespecjalnie poprawiło moje zdanie o nich.

Kiedy trafiałem wśród nich na kogoś, kto wydawał się w miarę bystry, przeprowadzałem na nim doświadczenie ze swoim rysunkiem numer 1, który zachowałem od dzieciństwa. Chciałem wiedzieć, czy ten ktoś rzeczywiście coś rozumie. Jednak za każdym razem odpowiedź brzmiała: „To jest kapelusz”. Więc nie wspominałem już o węzach boa ani o dżungli, ani o gwiazdach.

Dostosowywałem się do poziomu tego dorosłego. Mówiłem z nim o brydżu, o golfie, o polityce i krawatach. A dorosły był bardzo zadowolony, że poznał tak rozsądnego człowieka.

II

Żyłem samotnie, nie mając nikogo, z kim mógłbym prowadzić prawdziwe rozmowy, aż do czasu gdy sześć lat temu zdarzyła mi się nad Saharą awaria. Coś się zepsuło w silniku. Ponieważ nie było przy mnie mechanika ani pasażerów, zamierzałem sam podjąć się trudnej naprawy. Była to dla mnie kwestia życia lub śmierci, bo wody pitnej starczyłoby mi zaledwie na osiem dni.

Pierwszego wieczoru usnąłem na piasku, oddalony o tysiąc mil od siedzib ludzkich. Byłem bardziej samotny niż rozbitek na tratwie pośrodku oceanu. Możecie zatem wyobrazić sobie moje zdziwienie, gdy o świcie obudził mnie dziwny głosik. Ten głosik mówił:

- Proszę, narysuj mi baranka!
- Co?
- Narysuj mi baranka...

Zerwałem się, jakby piorun we mnie strzelił. Przetarłem oczy. Rozejrzałem się. I zobaczyłem zupełnie niezwykłego człowieczka, który przyglądał mi się z powagą. Oto najlepszy z jego portretów, jaki udało mi się później zrobić.

Oczywiście mój rysunek jest znacznie brzydszy od modelu. To nie moja wina. W wieku lat sześciu dorośli zniechęcili mnie do kariery malarskiej, więc nie nauczyłem się rysować niczego poza zamkniętymi i otwartymi węzami boa.

Wpatrywałem się więc w tę zjawę okrągłymi ze zdziwienia oczami.

Nie zapominajcie, że od zamieszkałych terenów dzieliło mnie tysiąc mil. Tymczasem ten chłopczyk nie wydawał się zagubiony ani też nie umierał ze zmęczenia, głodu, pragnienia czy ze strachu. W niczym nie przypominał dziecka, które zabłąkało się na pustyni, tysiąc mil od zamieszkałych terenów. Kiedy wreszcie zdołałem wydobyć z siebie głos, powiedziałem:

— Ale... co ty tutaj robisz?

A on powtórzył powoli, jakby chodziło o bardzo poważną sprawę:

— Proszę, narysuj mi baranka...

Kiedy zdumienie cię obezwładnia, nie masz śmiałości się sprzeciwić. Choć zdało mi się to absurdalne — biorąc pod uwagę, że byłem o tysiąc mil od siedzib ludzkich i w niebezpieczeństwie śmierci — wyjąłem z kieszeni kartkę i wieczne pióro. Wtedy właśnie przypomniałem sobie, że uczyłem się głównie geografii, historii, rachunków i gramatyki, i powiedziałem chłopczykowi (trochę opryskliwie), że nie umiem rysować. Odparł:

— Nic nie szkodzi. Narysuj mi baranka.

Jako że nigdy wcześniej nie rysowałem baranka, odtworzyłem dla niego jeden z dwóch zaledwie rysunków, do których byłem zdolny. Ten z zamkniętym boa. Byłem zaskoczony, słysząc odpowiedź chłopczyka:

— Nie! Nie! Nie chcę słońca w wężu boa. Boa jest bardzo niebezpieczny, a słoń nieporęczny. U mnie jest mało miejsca. Potrzebny mi baranek. Narysuj mi baranka.

No to narysowałem.

Spojrzał uważnie i powiedział:

— Nie! Ten jest już bardzo chory. Zrób innego.

Narysowałem.

Mój przyjaciel uśmiechnął się uprzejmie, z pobjazaniem:

— Sam widzisz... to nie jest baranek, to baran. Ma rogi...

Ponownie przerobiłem rysunek, ale został odrzucony podobnie jak poprzednie.

— Ten jest za stary. Chcę baranka, który będzie długo żył.

Wtedy, zniecierpliwiony, bo chciałem jak najszybciej przystąpić do demontażu silnika, nabazgrałem ten rysunek. Powiedziałem:

— To jest skrzynka. Baranek, o jakiego ci chodzi, znajduje się w środku.

Mocno się zdziwiłem na widok rozjaśnionej twarzy mojego młodego krytyka:

— Właśnie takiego chciałem! Czy twoim zdaniem ten baranek potrzebuje dużo trawy?

— Dlaczego?

— Dlatego, że u mnie jest tak mało miejsca...

— Na pewno wystarczająco. Dałem ci małego baranka.

Przechylił głowę nad rysunkiem.

— Nie jest znowu taki mały... Popatrz! Zasnął...

Tak oto poznałem Małego Księcia.

III

Długo mi zajęło, zanim zrozumiałem, skąd pochodzi. Mały Książę zadawał mi wiele pytań, lecz moich jakby w ogóle nie słyszał. Dopiero rzucane mimochodem słówka stopniowo ujawniły mi wszystko. Kiedy na przykład zobaczył po raz pierwszy mój samolot (nie narysuję swojego samolotu, taki rysunek byłby dla mnie o wiele za skomplikowany), zapytał:

— Co to za rzecz?

— To nie jest rzecz. To lata. To jest samolot. Mój samolot.

Czułem się dumny, mogąc mu powiedzieć, że latam. Zawołał:

— Jak to! Spadłeś z nieba?

— Tak — odparłem skromnie.

— Ach, to zabawne...

I Mały Książę wybuchnął uroczym śmiechem, który mocno mnie zirytował. Chciałbym, żeby moje nieszczęścia traktowano poważnie. Po chwili dodał:

— A więc ty też pochodzisz z nieba! Z jakiej planety?

Wtedy coś mi zaświtało w związku z tajemnicą jego obecności i spytałem go znienacka:

— To znaczy, że ty pochodzisz z innej planety?

Ale mi nie odpowiedział. Kiwał powoli głową, patrząc na mój samolot.

— To prawda, że w czymś takim nie mogłeś przybyć z daleka...

I pograżył się w długich rozmyślaniach. Potem wyjął z kieszeni swojego baranka i zaczął kontemplować swój skarb.

Możecie sobie wyobrazić, jak byłem zaintrygowany tym połowicznym zwierzeniem o „innych planetach”. Usiłowałem dowiedzieć się czegoś więcej:

— Skąd pochodzisz, chłopczyku? „U ciebie” — czyli gdzie? Dokąd chcesz zabrać swojego baranka?

Odpowiedział mi po chwili namysłu:

— Ta skrzynka, którą mi dałeś, jest o tyle dobra, że nocą posłuży mi za domek.

— Oczywiście. A jak będziesz miły, dam ci także sznurek, aby go uwiązać za dnia. I palik.

Propozycja najwyraźniej zaszokowała Małego Księcia:

— Uwiązać? Co za pomysł!

— Jeżeli go nie uwiążesz, pójdzie byle gdzie i się zgubi...

Tu mój przyjaciel znów wybuchnął śmiechem:

— A dokąd niby miałby sobie pójść?

— Byle gdzie. Przed siebie...

Wtedy Mały Książę stwierdził z powagą:

— Nie szkodzi, u mnie jest bardzo mało miejsca!

I dodał, jak sądzę, z odrobiną smutku:

— Idąc przed siebie, nie zajdzie się zbyt daleko...

IV

Tak oto dowiedziałem się drugiej ważnej rzeczy: że planeta, z której pochodzi, jest niewiele większa od domu! Nie miałem się specjalnie czemu dziwić. Wiedziałem, że oprócz dużych planet, takich jak Ziemia, Jowisz, Mars czy Wenus, którym nadano nazwy, istnieją setki innych, niekiedy tak małych, że bardzo trudno je dostrzec przy pomocy teleskopu. Kiedy jakiś astronom odkrywa jedną z nich, oznacza ją numerem. Nazywa ją na przykład asteroidą 3251.

Miałem poważne podstawy, by sądzić, że planetą pochodzenia Małego Księcia jest asteroida B 612. Zaobserwowano ją przez teleskop tylko jeden jedyny raz, w 1909 roku, a udało się to tureckiemu astronomowi. Przeprowadził wielką prezentację swojego

odkrycia na Międzynarodowym Kongresie Astronomicznym, nikt jednak mu nie uwierzył z powodu stroju, który miał na sobie. Dorośli tacy właśnie są.

Na szczęście dla reputacji asteroidy B 612 turecki dyktator nakazał swojemu ludowi pod karą śmierci nosić się po europejsku. Astronom ponownie przeprowadził pokaz w 1920 roku, ubrany w wytworny frak. Tym razem wszyscy podzielili jego zdanie.

Opowiadam wam te szczegóły na temat asteroidy B 612 i podaję jej numer z myślą o dorosłych. Dorośli lubią liczby. Jeżeli im mówisz, że masz nowego przyjaciela, nigdy nie interesuje ich to, co istotne. Nigdy nie pytają: „Jak brzmi jego głos? Jakie są jego ulubione gry? Czy zbiera motyle?”. Pytają za to: „Ile ma lat? Ilu ma braci? Ile waży? Ile zarabia jego ojciec?”. Dopiero wtedy wydaje im się, że coś o nim wiedzą. Jeżeli mówisz dorosłym: „Widziałem piękny dom z różowej cegły z pelargoniami w oknach i gołębiami na dachu...”, nie potrafią wyobrazić sobie tego domu. Trzeba im powiedzieć: „Widziałem dom za sto tysięcy franków”. Wtedy wołają: „Ach jaki piękny!”.

Podobnie jeżeli powiesz: „Dowód na istnienie Małego Księcia jest taki, że był śliczny, że się śmiał i że chciał mieć baranka. Kiedy ktoś chce mieć baranka, jest to dowodem na jego istnienie”, wzruszą ramionami i powiedzą, żeś dzieciak! Ale jeżeli powiesz: „Planeta, z której pochodził, to asteroida B 612”, wtedy uwierzą i dadzą ci spokój ze swoimi pytaniami. Tacy już są. Nie należy mieć do nich o to pretensji. Dzieci muszą być bardzo pobłażliwe wobec dorosłych.

Oczywiście my, którzy znamy życie, mamy w nosie cyfry! Miałbym ochotę zacząć tę historię tak, jak opowiada się bajki. Chciałbym powiedzieć: „Pewnego razu był sobie Mały Książę, który mieszkał na planecie niewiele większej od niego i bardzo potrzebował przyjaciela...”. Dla osób rozumiejących życie brzmiałoby to znacznie prawdziwiej.

Bo też wcale nie mam ochoty, żeby czytano moją książkę jak błahostkę. Opowiadanie tych wspomnień to dla mnie coś bardzo smutnego. Minęło sześć lat, odkąd mój przyjaciel odszedł wraz ze swoim barankiem. Próbuję go tu opisać po to, aby nie zapomnieć. To smutne, kiedy zapomina się przyjaciela. Nie każdy miał kiedyś przyjaciela. Poza tym mógłbym stać się taki jak dorośli, których interesują jedynie cyfry. Również dlatego kupiłem pudełko farb i ołówki. Trudno jest wrócić do rysowania w moim wieku, kiedy jedyne próby podejmowało się jako sześciolatek, a polegały one na rysowaniu zamkniętego i otwartego węża boa! Oczywiście będę próbował portretować Małego Księcia możliwie jak najwierniej. Ale wcale nie jestem pewien, czy mi się uda. Bywa, że jeden rysunek jest do przyjęcia, a drugi już niepodobny. Ze

wzrostem Małego Księcia również niezbyt dobrze sobie radzę. Tu jest za duży, a tam znowu za mały. Waham się też co do barwy jego stroju. Szukam po omacku, z lepszym lub gorszym skutkiem. Mogę się mylić nawet w bardzo ważnych szczegółach. Ale trzeba mi to wybaczyć. Mój przyjaciel nigdy niczego nie wyjaśniał. Być może sądził, że jestem podobny do niego. Lecz ja, niestety, nie potrafię dostrzec baranka przez skrzynkę. Może jestem trochę taki jak dorośli. Chyba się zestarzałem.

V

Codziennie dowiadywałem się czegoś na temat planety, odjazdu, podróży. Wiadomości te pojawiały się stopniowo, jako różne przypadkowe uwagi. W ten właśnie sposób trzeciego dnia poznałem dramat związany z baobabami.

Również i tym razem zawdzięczałem to barankowi, jako że Mały Książę nagle zwrócił się do mnie z pytaniem, jakby dopadły go poważne wątpliwości:

— Baranki zjadają krzewy, prawda?

— Tak. To prawda.

— O, to się cieszę.

Nie rozumiałem, dlaczego to takie ważne, że baranki zjadają krzewy. Ale Mały Książę dodał:

— Czy zatem zjadają też baobaby?

Zwróciłem Małemu Księciu uwagę, że baobab to nie krzew, tylko drzewo wielkie jak kościół, i że nawet gdyby zabrał ze sobą całe stado słoni, i tak nie dałoby rady jednemu baobabowi.

Myśl o stadzie słoni rozśmieszyła Małego Księcia:

— Trzeba by poustawiać jedne na drugich...

Zauważył jednak mądrze:

— Baobab, zanim urośnie, najpierw jest malutki.

— Słusznie! Ale dlaczego chcesz, żeby twoje baranki zjadały małe baobaby?

Odpowiedział: „Jak to dlaczego?!”, jakby chodziło o rzecz oczywistą. Musiałem wyteńczyć umysł, żeby samodzielnie zrozumieć tę kwestię. Otóż na planecie Małego Księcia, tak jak na wszystkich planetach, rosły pożyteczne rośliny i chwasty. Czyli znajdowały się tam również nasiona pożytecznych roślin i chwastów. Ale nasiona są niewidoczne. Śpią ukryte w glebie do czasu, aż któreś z nich weźmie chętką, żeby się obudzić. Wtedy takie nasiono się wypręża i z początku nieśmiało wypuszcza ku słońcu

nieszkodliwą łądzkę. Jeżeli jest to łądzka rzodkwi lub róży, można pozwolić jej rosnąć, jak chce. Ale jeżeli to chwast, trzeba wyrwać go zaraz, gdy się go rozpozna. Otóż na planecie Małego Księcia znajdowały się groźne nasiona — nasiona baobabu. Gleba planety była nimi zasypana. Tymczasem jeśli weźmiesz się za takie baobaby za późno, już nigdy się ich nie pozbędziesz. Zarosną całą planetę. Przebiją ją korzeniami. I jeśli planeta będzie za mała, a baobabów za wiele, doprowadzą do jej rozpadu.

— To kwestia dyscypliny — powiedział mi później Mały Książę. — Po porannej toalecie należy zadbać o higienę planety. Trzeba narzucić sobie zwyczaj regularnego wrywania baobabów, zaraz gdy dadzą się odróżnić od krzewów różanych, do których są bardzo podobne, kiedy są młode. To bardzo nudna, ale i bardzo łatwa praca.

Pewnego dnia poradził mi, żebym się przyłożył i zrobił ładny rysunek, aby porządnie wbić to do głowy dzieciom z mojej planety.

— Jeżeli kiedyś wyruszą w podróż — powiedział — to może im się przydać. Niekiedy można bez szkody odłożyć jakąś pracę na później. Ale w przypadku baobabów zawsze kończy się to katastrofą. Znałem planetę, której mieszkaniem był leniwy. Zlekceważył trzy krzaki...

Narysowałem tamtą planetę zgodnie ze wskazówkami Małego Księcia. Nie lubię przemawiać tonem moralisty. Zagrożenie powodowane przez baobaby jest jednak tak mało znane, a ryzyko grożące temu, kto zabląkałby się na asteroidzie tak duże, że tym razem wyjątkowo nie będę powściągliwy i powiem: „Dzieci! Uważajcie na baobaby!”. Napracowałem się bardzo nad tym rysunkiem właśnie po to, by ostrzec swoich przyjaciół przed niebezpieczeństwem, które groziło im od dawna, podobnie jak i mnie, choć o nim nie wiedzieliśmy. Lekcja, którą chciałem dać, była tego warta. Spytacie może, dlaczego inne rysunki w tej książce nie są równie wspaniałe jak te z baobabami? Odpowiedź jest prosta: próbowałem, ale mi nie wychodziły. Kiedy rysowałem baobaby, kierowało mną poczucie, że sprawa jest bardzo pilna.

VI

Ach, Mały Książę, zaczynałem stopniowo rozumieć twoje ciche, smutne życie. Przez długi czas twoją jedyną rozrywką były nastrojowe zachody słońca. Poznałem ten nowy szczegół czwartego dnia rano, kiedy mi powiedziałaś:

— Lubie zachody słońca. Chodźmy obejrzeć zachód słońca.

— Ale trzeba poczekać...

— Poczekać na co?

— Poczekać, żeby słońce zachodziło.

Najpierw wydałeś się bardzo zaskoczony, a potem zacząłeś śmiać się z samego siebie. Powiedziałeś:

— Ciągłe mi się wydaje, że jestem u siebie!

Rzeczywiście. Wszyscy wiedzą, że kiedy w Stanach Zjednoczonych jest południe, we Francji słońce właśnie zachodzi. Wystarczyłoby móc w minutę przenieść się do Francji, żeby zobaczyć zachód słońca. Niestety Francja jest zbyt daleko. Ale na twojej małej planecie wystarczyło, żebyś przesunął o kilka kroków krzesło. Mogłeś oglądać zmierzch tyle razy, ile miałeś na to ochotę...

— Pewnego dnia widziałem zachód słońca czterdzieści trzy razy! — powiedziałeś, a nieco później dodałeś: — Wiesz, kiedy ktoś jest bardzo smutny, to kocha zachody słońca...

— Czyli w dniu tych czterdziestu trzech razy byłeś bardzo smutny?

Ale na to już nie odpowiedziałeś.

VII

Piątego dnia, znowu za sprawą baranka, odkryła się przede mną kolejna tajemnica życia Małego Księcia. Otóż spytał mnie znenacka, bez żadnych wstępów, jakby o coś, nad czym od dawna się zastanawiał:

— Skoro taki baranek zjada krzewy, to zjada również kwiaty?

— Baranek zjada wszystko, co mu się trafi.

— Nawet kwiaty, które mają kolce?

— Tak. Nawet kwiaty, które mają kolce.

— W takim razie do czego służą kolce?

Tego nie wiedziałem. Byłem wtedy pochłonięty próbą poluzowania zbyt mocno dokręconej śruby w silniku. Bardzo się niepokoiłem, bo zacząłem rozumieć, że awaria jest poważna. Mój zapas wody pitnej kurczył się i bałem się najgorszego.

— Do czego służą kolce?

Mały Książę nigdy nie rezygnował z raz zadanego pytania. Byłem zirytowany śrubą i odpowiedziałem byle co:

— Kolce do niczego nie służą, to czysta złośliwość ze strony kwiatów!

— Ojej!

Po chwili milczenia Mały Książę rzucił jakby z urazą:

— Nie wierzę ci! Kwiaty są słabe. Są naiwne. Dodają sobie pewności tak, jak potrafią. Myślą, że z kolcami wyglądają groźnie...

Nie odpowiedziałem. Myślałem w tamtej chwili: „Jeżeli ta śruba nie puści, wybije ją młotkiem”. Mały Książę znowu przerwał moje rozmyślenia.

— A czy ty myślisz, że kwiaty...

— Ależ nie! Nie! Nic nie myślę! Odpowiedziałem byle co. Ja tu się zajmuję poważnymi sprawami!

Spojrzał na mnie ze zdumieniem.

— Poważnymi sprawami! — Mierzył mnie wzrokiem, jak z młotkiem w ręku, z palcami umazanymi smarem pochylał się nad przedmiotem, który musiał wydawać mu się bardzo brzydki. — Mówisz jak dorośli.

Trochę się zawstydzilem. A on dodał bezlitośnie:

— Wszystko mylisz... wszystko ci się miesza!

Był naprawdę mocno rozgniewany. Potrząsał na wietrze swoją złotą czupryną:

— Znam planetę, na której mieszka czerwony pan. Nigdy nie powąchał kwiatka. Nigdy nie spojrzał w gwiazdy. Nigdy nikogo nie pokochał. Nigdy nie zajmował się niczym poza dodawaniem. I przez cały dzień powtarza tak jak ty: „Jestem poważnym człowiekiem! Jestem poważnym człowiekiem!”, aż puchnie od tego z dumy. Ale to nie jest człowiek, tylko grzyb!

— Co takiego?

— Grzyb!

Mały Książę był teraz całkiem blady z gniewu.

— Od milionów lat kwiaty wytwarzają kolce. Od milionów lat baranki mimo wszystko zjadają kwiaty. Starać się zrozumieć, dlaczego zadają sobie tyle trudu, żeby wytworzyć kolce, które w ogóle do niczego nie służą, to niby nie jest poważna sprawa? Wojna kwiatów z barankami to nie jest ważne? Czy to nie jest poważniejsze i ważniejsze niż rachunki grubego, czerwonego pana? A jeżeli ja znam jedyny na świecie kwiat, jaki nie istnieje nigdzie indziej, tylko na mojej planecie, i jeżeli mały baranek może jednym kłapinięciem unicestwić go któregoś ranka, ot tak, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, to niby nie jest ważne?

Spasował. Po chwili mówił dalej:

— Jeżeli ktoś kocha kwiat, który istnieje w jednym tylko egzemplarzu pośród milionów i milionów gwiazd, wystarczy mu patrzeć na te gwiazdy, a będzie szczęśliwy.

Mówi sobie: „Mój kwiat jest gdzieś tam...”. Ale jeżeli baranek zje kwiat, to jakby dla niego nagle zgasły wszystkie gwiazdy! I to niby nie jest ważne!

Nie zdołał nic więcej powiedzieć. Znienacka wybuchnął płaczem. Zapadła już noc. Odłożyłem narzędzia. Miałem w nosie i młotek, i śrubę, i pragnienie, i śmierć. Na pewnej gwiazdzie, na pewnej planecie — na mojej planecie, Ziemi — był Mały Książę, który potrzebował pociechy! Wziąłem go na ręce. Ukołysałem. Powtarzałem mu:

— Kwiat, który kochasz, jest bezpieczny... Narysuję kaganiec dla baranka... Narysuję zbroję dla twojego kwiatu... Ja...

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Czułem się bardzo nieporadny. Nie wiedziałem, jak do niego przemówić, jak mu trafić do przekonania... Kraina łez jest tak tajemnicza.

VIII

Szybko dowiedziałem się więcej o tym kwiatku. Na planecie Małego Księcia zawsze były całkiem zwyczajne kwiaty, ozdobione jednym tylko rzędem płatków, które nie zabierały wiele miejsca i nikomu nie przeszkadzały. Pewnego ranka pojawiały się w trawie, a wieczorem umierały. Ale ten wykiełkował kiedyś z nasionka przyniesionego nie wiadomo skąd, a Mały Książę bardzo uważnie czuwał nad tą łodyżką niepodobną do innych łodyżek. To mógł być nowy gatunek baobabu. Krzak szybko przestał jednak rosnąć i zaczął szykować kwiatek. Mały Książę, który obserwował formowanie się olbrzymiego pąka, przeczuwał, że wyłoni się z niego cudowne zjawisko, ale kwiatek bez końca przygotowywał się w zaciszu swego zielonego pokoiku. Starannie dobierał kolory. Ubierał się powolutku, przymierzając płatek za płatkim. Nie chciał wyjść pomarszczony jak na przykład taki mak. Chciał ukazać się w pełnym blasku swej urody. Ech! Kwiatek był bardzo kokieteryjną różą. Jej tajemnicze przygotowania trwały wiele dni. Aż w końcu pewnego ranka, dokładnie o wschodzie słońca, pokazała się.

I róża, która postępowała według ściśle określonego planu, odezwała się ziewając:

— Ach, właśnie się obudziłam... Przepraszam... Jestem jeszcze nieuczesana...

Mały Książę nie mógł dłużej powstrzymać zachwyty:

— Ależ pani jest piękna!

— Prawda? — odpowiedziała cichutko. — W dodatku urodziłam się razem ze słońcem...

Mały Książę domyślił się, że róża nie jest zbyt skromna, ale była tak wzruszająca!

— Coś mi się wydaje, że to już pora śniadaniowa — dodała po chwili — czy byłby pan tak miły i pomyślał o mnie?

A Mały Książę, zmieszany, poszedł po konewkę świeżej wody i usłużył jej.

Już wkrótce zaczęła go dręczyć swoją trochę humorzystą próżnością. Na przykład pewnego dnia, mówiąc o swoich czterech kolcach, zawołała:

— Niech no tylko przyjdą tu tygrysy z pazurami!

— Na mojej planecie nie ma tygrysów — zaproponował Mały Książę — a poza tym tygrysy nie jedzą trawy.

— Ja nie jestem trawą — odpowiedziała słodko.

— Przepraszam bardzo...

— Zupełnie nie boję się tygrysów, ale nie znoszę przeciągów. Czy ma pan może jakiś parawan?

„Nie znosi przeciągów... to pech, kiedy jest się rośliną — pomyślał Mały Książę. — Ta róża jest bardzo trudna...”

— Wieczorem proszę umieścić mnie pod kloszem. Bardzo zimno u pana, źle tu urządzone. Tam, skąd pochodzę...

Ale przerwała. Pojawiła się w postaci nasionka. Nie miała okazji niczego się dowiedzieć o innych planetach. Upokorzona tym, że dała się złapać na próbie naiwnego kłamstwa, zakaszła dwa lub trzy razy, aby wywołać w Małym Księciu poczucie winy.

— A ten parawan?

— Miałem po niego pójść, ale pani do mnie mówiła.

Wtedy zakaszła jeszcze mocniej, żeby jednak poczuł wyrzuty sumienia.

Tak oto Mały Książę, pomimo dobrej woli, jaką kierował się w miłości, szybko zwątpił w uczucia róży. Wziął na serio jej nic nieznaczące słowa i stał się bardzo nieszczęśliwy.

— Nie powinienem był jej słuchać — powiedział mi któregoś dnia — w ogóle nie należy słuchać róż. Trzeba na nie patrzeć i je wachać. Moja róża napelniała zapachem całą planetę, lecz nie umiałem się tym cieszyć. Ta historia z pazurami, która tak mnie rozczłowiła, powinna była mnie rozczulić...

Zwierzył mi się jeszcze z tego:

— Wtedy zupełnie nie potrafiłem jej zrozumieć! Powinienem był oceniać ją po czynach, nie po słowach. Pachniała dla mnie i cieszyła blaskiem. Nie powinienem był uciekać! Należało się domyślić, że za jej nieporadnymi wybiegami kryje się czułość. W różach jest tyle sprzeczności! Ale byłem za młody, żeby umieć ją kochać.

IX

Sądzę, że do ucieczki wykorzystał odlot wędrownych ptaków. Rano w dniu wyjazdu porządnie wysprzątał swoją planetę. Starannie przeczyścił czynne wulkany. Miał dwa czynne wulkany. Bardzo wygodna rzecz do przyrządzania ciepłego śniadania. Miał również jeden wulkan wygasły. Jak sam mówił, „nigdy nic nie wiadomo”, dlatego przeczyścił także ten wygasły. Dobrze przeczyszczone wulkany palą się równo i powoli, bez erupcji. Z erupcją wulkanu jest jak z ogniem w kominku. Naturalnie na Ziemi jesteśmy o wiele za mali, żeby czyścić przewody naszych wulkanów, dlatego przysparzają nam mnóstwo kłopotów.

Mały Książę powyrywał również, z pewnym przygnębieniem, ostatnie pędy baobabów. Był przekonany, że nigdy już nie wróci. Ale wszystkie te prace gospodarskie wydały mu się tego ranka nadzwyczaj przyjemne. Kiedy po raz ostatni podlał swoją różę i był gotów schować ją pod kloszem, poczuł, że chce mu się płakać.

— Żegnaj — powiedział.

Lecz róża mu nie odpowiedziała.

— Żegnaj — powtórzył.

Róża zakaszlała. Ale to nie był kaszel spowodowany przeziębieniem.

— Byłam niemądra — powiedziała w końcu. — Wybacz mi. Postaraj się być szczęśliwy.

Był zaskoczony, że nie robi mu wyrzutów. Stał zmieszany, trzymając uniesiony klosz. Nie rozumiał, skąd wzięła się ta spokojna łagodność.

— Ależ tak, kocham cię — powiedziała. — Nie wiedziałeś o tym z mojej winy. To bez znaczenia. Ale byłeś równie niemądry jak ja. Postaraj się być szczęśliwy... Zostaw ten klosz w spokoju. Już go nie chcę.

— Ale wiatr...

— Nie jestem aż tak bardzo przeziębiona... Świeże nocne powietrze dobrze mi robi. Jestem kwiatem.

— Ale dzikie zwierzęta...

— Jakoś muszę znieść te dwie czy trzy gąsienice, skoro chcę zapoznać się z motylami. Podobno to coś pięknego. Jeżeli nie one, to kto mnie odwiedzi? Ty będziesz daleko. A co do dzikich zwierząt, nie boję się niczego. Mam pazury.

I naiwnie pokazała mu swoje cztery kolce. Po chwili dodała:

— Nie ociągaj się tak, to denerwujące. Postanowiłeś wyjechać. Zmykaj.
To wszystko dlatego, że nie chciała, by zobaczył, jak płacze. Była bardzo dumna...

X

Mały Książę znalazł się w okolicy asteroid numer 325, 326, 327, 328, 329 i 330, więc zaczął je odwiedzać, aby się czymś zająć i czegoś się nauczyć.

Pierwszą zamieszkiwał król. Król, w purpurze i gronostajach, zasiadał na bardzo prostym, a mimo to majestatycznym tronie.

— Ach! Oto mój poddany! — zawołał król na widok Małego Księcia, a ten pomyślał: „Jakim cudem może mnie rozpoznać, skoro nigdy mnie nie widział!”.

Nie wiedział, że królowie widzą świat w uproszczeniu. Wszyscy ludzie są dla nich poddanymi.

— Zbliź się, żebym mógł cię lepiej widzieć — powiedział król, bardzo dumny, że wreszcie jest królem dla kogoś.

Mały Książę poszukał wzrokiem miejsca, gdzie mógłby usiąść, ale całą planetę zajmował wspaniały płaszcz z gronostajów. Stał więc nadal przed królem, a że był zmęczony, ziewnął.

— Ziewanie w obecności króla jest niezgodne z etykietą — oświadczył monarcha. — Zabraniam ci ziewać.

— Nie mogę się powstrzymać — zmieszał się Mały Książę. — Mam za sobą długą podróż, nie spałem...

— W takim razie rozkazuję ci ziewać — powiedział król. — Od lat nie widziałem nikogo, kto by ziewał. Każde ziewnięcie to dla mnie ciekawostka. No, poziewaj jeszcze. To rozkaz.

— Kiedy się wstydzę... już nie mogę... — powiedział Mały Książę, czerwieniąc się.

— Hm! Hm! — odparł król. — W takim razie... rozkazuję ci raz ziewać, a raz...

Trochę bełkotał i wydawał się rozdrażniony.

Chodziło o to, że królowi najbardziej zależało na tym, by szanować jego autorytet. Nie tolerował nieposłuszeństwa. Był monarchą absolutnym. Z drugiej strony, ponieważ był bardzo dobry, wydawał rozsądne rozkazy.

— Gdybym tak — mawiał nieraz — gdybym tak rozkazał jakiemuś generałowi, żeby się zmienił w morskiego ptaka, a ten generał by nie usłuchał, nie byłaby to wina generała. To byłaby moja wina.

— Czy mogę usiąść? — spytał nieśmiało Mały Książę.

— Rozkazuję ci usiąść — odpowiedział król, podciągając majestatycznie połę swego płaszcza z gronostajów.

Ale Mały Książę nie mógł się nadziwić. Planeta była maleńka. Nad czym królował ten król?

— Najjaśniejszy Panie — powiedział — proszę wybaczyć, że wypytuję...

— Rozkazuję ci mnie wypytywać — czym prędzej powiedział król.

— Nad czym Najjaśniejszy Pan króluje?

— Nad wszystkim — odparł król z wielką prostotą.

— Nad wszystkim?

Król dyskretnym ruchem wskazał swą planetę, a także inne planety i gwiazdy.

— Nad tym wszystkim? — spytał Mały Książę.

— Nad tym wszystkim — odparł król.

Był to bowiem nie tylko władca absolutny, ale też władca wszystkiego.

— I gwiazdy są posłuszne?

— Oczywiście — odpowiedział król. — Od razu mnie słuchają. Nie toleruję braku dyscypliny.

Jego władza zachwyciła Małego Księcia. Gdyby sam miał taką, mógłby obserwować nie czterdzieści cztery, ale siedemdziesiąt dwa, a nawet sto, a nawet dwieście zachodów słońca w jednym dniu, bez przestawiania krzesła! A ponieważ zrobiło mu się trochę smutno na wspomnienie swojej małej, opuszczonej planety, zdobył się na odwagę, by poprosić króla o łaskę:

— Chciałbym zobaczyć zachód słońca... Proszę sprawić mi przyjemność i rozkazać słońcu, żeby zaszło...

— Gdybym rozkazał generałowi latać z kwiatka na kwiatek jak motyl albo napisać tragedię, albo zmienić się w morskiego ptaka, i gdyby generał nie wykonał otrzymanego rozkazu, czyja byłaby to wina: jego czy moja?

— Najjaśniejszego Pana — powiedział zdecydowanym tonem Mały Książę.

— Właśnie. Od każdego trzeba wymagać tego, co może dać — kontynuował król. — Autorytet opiera się przede wszystkim na rozsądku. Jeśli rozkażesz swojemu ludowi, żeby się rzucił do morza, zorganizuje rewolucję. Mam prawo wymagać posłuszeństwa, bo moje rozkazy są rozsądne.

— Więc jak będzie z moim zachodem słońca? — przypomniał Mały Książę, który nigdy nie zapominał raz zadanego pytania.

— Dostaniesz swój zachód słońca. Zażądam go. Ale w swojej mądrości władcy poczekam na sprzyjające warunki.

— Kiedy to nastąpi? — chciał się dowiedzieć Mały Książę.

— Hm, hm! — chrząknął król, który najpierw zajrzał do grubego kalendarza. — Hm, hm, nastąpi to około... około... nastąpi to dziś wieczorem około siódmej czterdzieści! Zobaczysz, jaki mam posłuch.

Mały Książę ziewnął. Żałował straconego zachodu słońca. Poza tym już się trochę nudził.

— Nie mam tu już nic do roboty — powiedział królowi. — Odjeżdżam!

— Nie odjeżdżaj — odparł król, tak dumny z posiadania poddanego. — Nie odjeżdżaj, mianuję cię ministrem!

— Ministrem czego?

— Ministrem... sprawiedliwości!

— Ale tu nie ma nikogo do sądenia!

— Nie wiadomo — powiedział król. — Jeszcze nie obszedłem całego królestwa. Jestem bardzo stary, nie mam miejsca, żeby trzymać karetę, a chodzenie mnie męczy.

— Ojej! Ale ja już sprawdzałem — powiedział Mały Książę i nachylił się, aby jeszcze rzucić okiem na drugą stronę planety. — Tam też nikogo nie ma.

— Będziesz zatem sądzić samego siebie — odparł król. — To jest najtrudniejsze. Znacznie trudniej jest sądzić samego siebie niż innych. Jeżeli będziesz umiał dobrze się osądzić, to znaczy, że prawdziwy z ciebie mędrzec.

— Ale ja mogę się sądzić w dowolnym miejscu — stwierdził Mały Książę. — Nie ma potrzeby, żebym mieszkał tutaj.

— Hm, hm! — kontynuował król. — Wydaje mi się, że gdzieś na mojej planecie mieszka stary szczur. Słyszę go nocami. Będziesz mógł sądzić tego starego szczura. Od czasu do czasu skarzesz go na śmierć. W ten sposób jego życie będzie zależało od twojej sprawiedliwości. Ale za każdym razem go ułaskawisz, aby go oszczędzić. Jest tylko jeden.

— Jeśli o mnie chodzi — odpowiedział Mały Książę — nie lubię skazywać na śmierć. Coś mi się zdaje, że zaraz sobie pójdę.

— Nie — powiedział król.

Mały Książę, który skończył już przygotowania, nie chciał sprawiać przykrości staremu władcy.

— Jeżeli Najjaśniejszy Pan chciałby, aby raz go posłuchano, to mógłby dać mi rozsądny rozkaz. Na przykład taki, żebym odjechał w ciągu minuty. Wydaje mi się, że są ku temu sprzyjające warunki...

Ponieważ król nic nie odpowiedział, Mały Książę po chwili wahania westchnął i ruszył w drogę.

— Mianuję cię moim ambasadorem! — zawołał czym prędzej król. Wyglądał przy tym bardzo władczo.

„Dorośli są naprawdę dziwni” — myślał sobie Mały Książę w czasie podróży.

XI

Druga planeta była zamieszкана przez pyszałka.

— Ach! Ach! Oto odwiedził mnie admirał! — zawołał z daleka pyszałek, gdy tylko zauważył Małego Księcia. Dla pyszałków inni ludzie są bowiem admirałami.

— Dzień dobry — powiedział Mały Książę. — Ma pan śmieszny kapelus.

— To kapelus do ukłónów — odpowiedział pyszałek. — Aby się kłaniać w czasie wiwatów na moją cześć. Niestety, nikt nigdy tu nie zagląda.

— Ach tak? — zdziwił się Mały Książę, który nic z tego nie rozumiał.

— Uderz w dłónie — poradził mu pyszałek.

Mały Książę uderzył w dłónie. Pyszałek skromnie się ukłónił, uchylając kapelusza.

„To zabawniejsze niż wizyta u króla” — pomyślał Mały Książę i ponownie uderzył w dłónie. Pyszałek ponownie się ukłónił, uchylając kapelusza.

Po pięciu minutach takich ćwiczeń Mały Książę poczuł się znużony monotónią zabawy.

— A co trzeba zrobić, żeby kapelus spadł? — zapytał.

Ale pyszałek go nie usłyszał. Jedyne, co potrafi usłyszeć pyszałek, to pochwały.

— Czy na pewno jesteś moim admirałem? — spytał Małego Księcia.

— Co to znaczy „admirał”?

— Admirał to ktoś, kto jest przekonany, że jestem najprzystojniejszy, najlepiej ubrany, najbogatszy i najinteligentniejszy na całej planecie.

— Ale ty jesteś sam na swojej planecie!

— Zrób mi przyjemność i mimo wszystko bądź moim admirałem!

— Jestem twoim admirałem — powiedział Mały Książę z lekkim wzruszeniem ramion — ale co ci to daje?

I już go nie było. „Dorośli są zdecydowanie dziwni” — myślał sobie Mały Książę w czasie podróży.

XII

Na następnej planecie mieszkał pijak. Ta wizyta trwała bardzo krótko, ale pogrążyła Małego Księcia w wielkim smutku:

— Co ty tu robisz? — spytał pijaka, którego zastał siedzącego w milczeniu przed baterią pustych butelek i drugą baterią pełnych.

— Piję — odpowiedział pijak z posępną miną.

— Dlaczego pijesz? — spytał Mały Książę.

— Żeby zapomnieć — odpowiedział pijak.

— Żeby zapomnieć o czym? — dopytywał się Mały Książę, któremu już było go żal.

— Żeby zapomnieć, że się wstydzę — wyznał pijak, spuszczaając głowę.

— Wstydziś się czego? — drażył Mały Książę, który chciał mu pomóc.

— Wstydzę się, że piję! — dopowiedział pijak i ostatecznie zapadł w milczenie.

Mały Książę, bezradny, odjechał. „Dorośli są zdecydowanie bardzo, bardzo dziwni” — myślał sobie w czasie podróży.

XIII

Czwarta planeta była planetą biznesmena. Człowiek ten był tak zajęty, że nawet nie podniósł głowy, gdy zjawił się Mały Książę.

— Dzień dobry — powiedział ten. — Zgasł panu papieros.

— Trzy plus dwa równa się pięć. Pięć plus siedem dwanaście. Dwanaście plus trzy piętnaście. Dzień dobry. Piętnaście plus siedem dwadzieścia dwa. Dwadzieścia dwa plus sześć dwadzieścia osiem. Nie mam czasu drugi raz go zapalić. Dwadzieścia sześć plus pięć trzydzieści jeden. Uff! To daje pięćset jeden milionów sześćset dwadzieścia dwa tysiące siedemset trzydzieści jeden.

— Pięćset milionów czego?

— Co? Jeszcze tu jesteś? Pięćset jeden milionów... sam już nie pamiętam czego ... mam tyle pracy! Jestem poważnym człowiekiem, nie zajmuję się głupstwami! Dwa plus pięć równa się siedem...

— Pięćset milionów czego? — powtórzył Mały Książę, który nigdy nie rezygnował z raz zadanego pytania.

Biznesmen uniósł głowę.

— Mieszkam na tej planecie od pięćdziesięciu czterech lat i tylko trzy razy coś mi przeszkodziło. Za pierwszym razem był to chrząszcz, który spadł Bóg wie skąd. Straszliwie buczał i przez niego czterokrotnie pomyliłem się w dodawaniu. Drugi raz zdarzył się jedenaście lat temu i był to atak reumatyzmu. Za mało się ruszam. Nie mam czasu, żeby się wałęsać. Jestem poważnym człowiekiem. Trzeci raz... jest teraz! A więc jak powiedziałem pięćset jeden milionów...

— Milionów czego?

Biznesmen zrozumiał, że nie ma co liczyć na spokój.

— Milionów tych małych rzeczy, które czasami widać na niebie.

— Much?

— Ależ skąd. Tych małych rzeczy, które błyszczą.

— Pszczół?

— Ależ skąd. Tych małych pozłacanych rzeczy, które skłaniają wałkoni do marzeń. Ale ja jestem poważnym człowiekiem. Nie mam czasu na marzenia.

— Aha! Gwiazd?

— Zgadza się. Gwiazd.

— I po co ci pięćset milionów gwiazd?

— Pięćset jeden milionów sześćset dwadzieścia dwa tysiące siedemset trzydzieści jeden. Jestem poważnym człowiekiem, jestem dokładny.

— I po co ci te gwiazdy?

— Po co?

— Tak.

— Po nic. Posiadam je.

— Posiadasz gwiazdy?

— Tak.

— Już widziałem króla, który...

— Królowie nie posiadają. Oni „królują”. To zupełnie co innego.

— A po co ci posiadać gwiazdy?

— Po to, żeby być bogatym.

— A po co ci być bogatym?

— Po to, żeby kupować inne gwiazdy, jeśli ktoś je znajdzie.

„On rozumuje trochę jak tamten pijak” — pomyślał Mały Książę.

Mimo to zadał jeszcze inne pytania:

— Jak można posiadać gwiazdy?

— A niby do kogo należą? — odparował opryskliwy biznesmen.

— Nie wiem. Do nikogo.

— To znaczy, że należą do mnie, bo ja pierwszy o tym pomyślałem.

— I to wystarczy?

— Oczywiście. Jeśli znajdujesz diament, który nie należy do nikogo, jest twój. Jeśli znajdujesz wyspę, która nie należy do nikogo, jest twoja. Jeśli jako pierwszy wpadasz na jakiś pomysł, opatentowujesz go: jest twój. A do mnie należą gwiazdy, bo nikt przede mną nie pomyślał, żeby je objąć w posiadanie.

— To prawda — powiedział Mały Książę. — A co z nimi robisz?

— Zarządzam nimi. Liczę je, a potem przeliczam — odparł biznesmen. — To niełatwe. Ale jestem poważnym człowiekiem!

Małemu Księciu to jeszcze nie wystarczyło.

— A ja, jeśli posiadam szalik, mogę owinąć nim szyję i zabrać ze sobą. Jeśli posiadam kwiat, mogę go zerwać i zabrać ze sobą. Ale ty nie możesz zerwać gwiazd!

— Nie, mogę jednak ulokować je w banku.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że mogę zapisać na karteczce liczbę swoich gwiazd. A potem zamknąć tę karteczkę w szufladzie na klucz.

— I to wszystko?

— To wystarczy!

„Zabawne — pomyślał Mały Książę. — Dość poetyckie. Ale mało poważne.”

Mały Książę miał zupełnie inne wyobrażenie o rzeczach poważnych niż dorośli.

— Jeśli o mnie chodzi — dodał — posiadam kwiat, który codziennie podlewam. Posiadam trzy wulkany, które przeczyszczam co tydzień, łącznie z tym wygasłym. Bo nigdy nic nie wiadomo. To, że posiadam te wulkany i że posiadam mój kwiat, jest dla nich użyteczne. Ale ty nie jesteś użyteczny dla gwiazd...

Biznesmen otworzył usta, lecz nie znalazł odpowiedzi, więc Mały Książę ruszył w drogę.

„Dorośli są naprawdę niezwykli” — powiedział sobie po prostu w czasie podróży.

XIV

Piąta planeta była bardzo ciekawa. Najmniejsza ze wszystkich. Było na niej zaledwie dość miejsca, aby zmieścić latarnię i latarnika. Mały Książę nie umiał sobie wytłumaczyć, czemu może służyć gdzieś tam na niebie, na planecie bez domów i mieszkańców, istnienie latarni i latarnika. Powiedział sobie jednak:

„Może i rzeczywiście ten człowiek jest absurdalny. Ale jest mniej absurdalny od króla, pyszałka, biznesmena i pijaka. Jego praca przynajmniej ma sens. Kiedy zapala latarnię, to tak jakby dzięki niemu rodziła się kolejna gwiazda albo kwiat. Kiedy gasi latarnię, usypia kwiat albo gwiazdę. To bardzo piękne zajęcie. I naprawdę użyteczne, ponieważ jest piękne.”

Kiedy wylądował na planecie, z szacunkiem przywitał się z latarnikiem.

— Dzień dobry. Właśnie zgasiłeś latarnię, dlaczego?

— Takie są zasady — odparł latarnik. — Dzień dobry.

— Co to znaczy „zasady”?

— Żeby gasić latarnię. Dobry wieczór.

Zapalił latarnię.

— Ale dlaczego z powrotem ją zapaliłeś?

— Takie są zasady — odparł latarnik.

— Nie rozumiem — powiedział Mały Książę.

— Nie ma tu nic do rozumienia — powiedział latarnik. — Zasady to zasady. Dzień dobry.

I zgasił latarnię. Następnie otarł pot z czoła chusteczką w czerwonej kratę.

— Mam okropny zawód. Dawniej wszystko odbywało się w granicach rozsądku. Gasilem rano i zapalałem wieczorem. Miałem resztę dnia na odpoczynek i resztę nocy na sen...

— Czy od tamtego czasu zasady się zmieniły?

— Zasady się nie zmieniły — powiedział latarnik. — W tym całe nieszczęście! Z roku na rok planeta krążyła coraz prędeżej, a zasady się nie zmieniły!

— No i?

— No i teraz w minutę robi jeden obrót, a mnie zostaje tylko sekunda na odpoczynek. Zapalam i gaszę latarnię raz na minutę!

— To zabawne! Dzień trwa u ciebie minutę!

— To wcale nie jest zabawne — powiedział latarnik. — Minął już miesiąc, odkąd rozmawiamy.

— Miesiąc?

— Tak. Trzydzieści minut. Trzydzieści dni! Dobry wieczór.

I znów zapalił latarnię.

Mały Książę popatrzył i poczuł sympatię do latarnika tak wiernego zasadom. Przypomniawszy sobie o zachodach słońca, które sam czasami wywoływał, przesuwał krzesło. Zaprażył pomóc przyjacielowi.

— Wiesz co... znam sposób na to, żebyś mógł odpocząć, kiedy zechcesz...

— Zawsze chcę — powiedział latarnik.

Bo można być jednocześnie sumiennym i leniwym.

— Twoja planeta jest tak mała — ciągnął Mały Książę — że wystarczy zrobić trzy kroki, aby ją obejść dookoła. Powinieneś posuwać się na tyle wolno, by zawsze pozostawać w słońcu. Będziesz odpoczywał w marszu, a dzień potrwa tak długo, jak zechcesz.

— Wiele mi to nie pomoże — powiedział latarnik — bo w życiu najbardziej lubię spać.

— A to pech — stwierdził Mały Książę.

— A to pech — powiedział latarnik. — Dzień dobry.

I zgasił latarnię.

„Tym człowiekiem wszyscy inni by pogardzali — pomyślał Mały Książę, kontynuując podróż — i król, i pyszałek, i pijak, i biznesmen. A jednak tylko on nie wydaje mi się śmieszny. Być może dlatego, że nie zajmuje się wyłącznie sobą.”

Westchnął z żalem i jeszcze pomyślał:

„Tylko z nim mógłbym się zaprzyjaźnić. Ale jego planeta jest naprawdę zbyt mała. Nie ma na niej miejsca dla dwóch...”

Mały Książę nie śmiał przyznać sam przed sobą, że żał mu było opuszczać tę błogosławioną planetę przede wszystkim ze względu na tysiąc czterysta czterdzieści zachodów słońca w ciągu doby!

XV

Szósta planeta była dziesięć razy większa. Zamieszkiwał ją starszy pan, który pisał bardzo grube książki.

- Proszę! Eksplorator przyszedł! — zawołał na widok Małego Księcia.
Mały Książę usiadł na stole, by chwilę odetchnąć. Już tyle się napodróżował!
- Skąd przybywasz? — spytał starszy pan.
- Cóż to za gruba księga? — odezwał się Mały Książę. — Co pan tu robi?
- Jestem geografem — odparł starszy pan.
- Kto jest geograf?
- To taki uczony, który wie, gdzie są położone morza, rzeki, miasta, góry i pustynie.
- Bardzo to ciekawe — powiedział Mały Książę. — To nareszcie wygląda na prawdziwy zawód! I rozejrzał się po planecie geografa. Nigdy jeszcze nie widział tak majestatycznej planety.
- Piękna ta planeta. Czy są na niej oceany?
- Tego nie mogę wiedzieć — odparł geograf.
- Ach! — Mały Książę był rozczarowany. — A góry?
- Tego nie mogę wiedzieć — powiedział geograf.
- A miasta i rzeki, i pustynie?
- Tego też nie mogę wiedzieć — odpowiedział geograf.
- Przecież jest pan geografem!
- To prawda — przyznał geograf — ale nie jestem eksploratorem. Bardzo brakuje mi eksploratorów. Geograf nie jest kimś, kto liczy miasta, rzeki, góry, morza, oceany i pustynie. Zbyt poważna z niego persona, żeby się gdzieś włóczyć. Geograf nie odchodzi od biurka. Ale za to przyjmuje eksploratorów. Wypytuje ich i notuje ich wspomnienia. A jeśli wspomnienia któregoś wydadzą mu się interesujące, wówczas przeprowadza badanie moralności eksploratora.
- A dlaczego?
- Dlatego, że kłamliwy eksplorator spowodowałby katastrofę w książkach geograficznych. Podobnie jak eksplorator, który pilby za dużo.
- A dlaczego? — pytał dalej Mały Książę.
- Dlatego, że pijany widzi podwójnie, więc geograf zarejestrowałby dwie góry tam, gdzie jest tylko jedna.
- Znam kogoś — powiedział Mały Książę — kto byłby złym eksploratorem.
- To możliwe. Kiedy moralność eksploratora zdaje się bez zarzutu, wówczas przechodzi się do badań nad jego odkryciem.
- Jadąc na miejsce?

— Nie. To zbyt skomplikowane. Ale żąda się od eksploratora dowodów. Na przykład w przypadku odkrycia wielkiej góry istnieje wymóg, żeby przywiózł stamtąd wielkie kamienie.

Geograf nagle okazał zainteresowanie:

— Ale ty przybywasz z daleka! Jesteś eksploratorem! Opisz mi swoją planetę!

I tu geograf otworzył rejestr i zatemperował ołówek. Opowieści eksploratorów zapisuje się najpierw ołówkiem. Na zapisanie atramentem należy poczekać aż do czasu, gdy eksplorator dostarczy dowodów.

— A więc? — zapytał geograf.

— Och, u mnie nie jest zbyt ciekawie — powiedział Mały Książę. — Moja planeta jest bardzo mała. Mam trzy wulkany. Dwa czynne i jeden wygasły. Ale nigdy nic nie wiadomo.

— Nigdy nic nie wiadomo — powiedział geograf.

— Mam też kwiat.

— O kwiatach nie piszemy — zareagował geograf.

— Ależ dlaczego? Są najładniejsze!

— Dlatego, że kwiaty są efemeryczne.

— Co to znaczy „efemeryczne”?

— Dzieła geograficzne — powiedział geograf — są najcenniejsze spośród wszystkich książek. Nigdy się nie starzeją. Bardzo rzadko się zdarza, żeby góra zmieniła położenie. Bardzo rzadko się zdarza, żeby z oceanu wyciekła woda. Piszemy o rzeczach, które są wieczne.

— Ale wygasłe wulkany mogą się obudzić — przerwał mu Mały Książę. — Co to znaczy „efemeryczny”?

— Nie ma dla nas znaczenia, czy wulkan jest wygasły, czy też czynny — stwierdził geograf. — Dla nas liczy się góra. Ona się nie zmienia.

— Ale co to znaczy „efemeryczny”? — powtórzył Mały Książę, który nigdy w życiu nie wycofał się z raz zadanego pytania.

— To znaczy „zagrożony rychłym wyginięciem”.

— Moja róża jest zagrożona rychłym wyginięciem?

— Naturalnie.

„Moja róża jest efemeryczna — pomyślał Mały Książę — a w dodatku ma tylko cztery kolce do obrony przed światem! A ja zostawiłem ją całkiem samą!”

To był jego pierwszy odruch żalu, otrząsnął się jednak i zapytał:

— Co radziłby mi pan zwiedzić?
— Planetę o nazwie Ziemia — odparł geograf. — Ma dobrą opinię.
Mały Książę odjechał, myśląc o swojej róży.

XVI

Siódmą planetą była więc Ziemia.

Ziemia to nie byle jaka planeta! Liczy stu jedenastu królów (oczywiście nie pomijając królów afrykańskich), siedem tysięcy geografów, dziewięćset tysięcy biznesmenów, siedem i pół miliona pijaków, trzysta jedenaście milionów pyszałków, czyli około dwóch miliardów dorosłych.

Aby dać wam wyobrażenie o rozmiarach Ziemi, powiem, że przed wynalezieniem elektryczności trzeba było utrzymywać na niej istną armię czterystu sześćdziesięciu dwóch tysięcy pięciuset jedenastu latarników.

Z daleka wyglądało to przepięknie. Armia ta poruszała się równo jak w balecie. Na samym początku pojawiali się latarnicy z Nowej Zelandii i Australii. Zapalali swoje latarnie, po czym szli spać. Wtedy podejmowali taniec latarnicy z Chin i Syberii. Następnie oni również znikali za kulisami. Wtedy przychodziła kolej latarników z Rosji oraz Indii. Potem tych z Afryki i Europy. Potem z Ameryki Południowej. Potem z Ameryki Północnej. Nigdy nie mylili się co do kolejności wejścia na scenę. Widowisko było podniosłe.

Jedynie zapalacz jedynej latarni na biegunie północnym i jego kolega od jedynej latarni na biegunie południowym pędzili próżniacze, bez troskie życie: pracowali dwa razy do roku.

XVII

Kiedy człowiek chce zabłysnąć dowcipem, zdarza się, że trochę nakłamie. Nie byłem do końca uczciwy w swojej opowieści o latarnikach. Istnieje ryzyko, że mógłbym dać fałszywe wyobrażenie o naszej planecie tym, którzy jej nie znają. Ludzie zajmują na Ziemi bardzo niewiele miejsca. Gdyby dwa miliardy jej mieszkańców stanęło obok siebie, nieco się ścieśniając, jak na wiecu, bez trudu pomieściliby się na placu długim na dwadzieścia mil i szerokim na dwadzieścia mil. Całą ludzkość można by stłoczyć na którejś z małych wysepek na Pacyfiku.

Oczywiście dorośli wam nie uwierzą. Wyobrażają sobie, że zajmują dużo miejsca. W swoich oczach są wielcy jak baobaby. Poradźcie im, żeby sobie wszystko przeliczyli. Uwielbiają liczyć, więc to im się spodoba. Ale wy nie traćcie czasu na takie zajęcie. To zbyteczne. Przecież macie do mnie zaufanie.

Po przybyciu na Ziemię Mały Księżę był bardzo zaskoczony, nie widząc nikogo. Zdażył się już przestraszyć, że pomylił planety, aż tu jakiś pierścieniowaty kształt w kolorze księżyca poruszył się na piasku.

— Dobry wieczór — powiedział na wszelki wypadek Mały Księżę.

— Dobry wieczór — powiedział wąż.

— Na jaką planetę spadłem? — zapytał Mały Księżę.

— Na Ziemię, w Afryce — odparł wąż.

— Ach!... Czyli na Ziemi nie ma nikogo?

— Tutaj jest pustynia. Na pustyni nikogo nie ma. Ziemia jest duża — powiedział wąż. Mały Księżę usiadł na kamieniu i podniósł oczy ku niebu.

— Zastanawiam się — powiedział — czy gwiazdy są oświetlone po to, aby każdy mógł pewnego dnia odnaleźć tę swoją. Spójrz na moją planetę. Znajduje się dokładnie nad nami... Ale jest tak daleko!

— Jest piękna — stwierdził wąż. — Po co tu przyjechałeś?

— Niezbyt mi się układa z pewną różą — powiedział Mały Księżę.

— Aha! — odpowiedział wąż.

I obaj zamilkli.

— Gdzie są ludzie? — odezwał się w końcu Mały Księżę. — Można się poczuć samotnym na tej pustyni...

— Wśród ludzi też można się poczuć samotnym — powiedział wąż.

Mały Księżę długo mu się przyglądał.

— Dziwne z ciebie zwierzę, cienkie jak palec... — powiedział w końcu.

— Ale jestem potężniejszy niż palec króla — odparł wąż.

Mały Księżę uśmiechnął się.

— Nie jesteś zbyt potężny... nie masz nawet nóg... i nie możesz nawet podróżować...

— Mogę cię przenieść dalej niż statek — powiedział wąż.

Owinął się Małemu Księciu wokół kostki, zupełnie jak złota bransoleta.

— Tego, kogo dotknę, przywracam ziemi, z której powstał — powiedział jeszcze. — Ale ty jesteś czysty i przybyłeś z gwiazdy...

Mały Księżę nic nie odpowiedział.

— Żal mi cię, że taki jesteś słaby i znalazłeś się na tej Ziemi zbudowanej z granitu. Mogę ci kiedyś pomóc, jeśli będziesz bardzo tęsknił za swoją planetą. Mogę...

— Ojej, doskonale wszystko zrozumiałem — powiedział Mały Książę — ale dlaczego zawsze wyrażasz się tak zagadkowo?

— Ja rozwiązuję wszystkie te zagadki — powiedział wąż.

Obaj zamilkli.

XVIII

Mały Książę przeszedł całą pustynię i trafił tylko na jeden kwiat. Kwiat o trzech płatkach, całkiem niepozorny.

— Dzień dobry — powiedział Mały Książę.

— Dzień dobry — odpowiedział kwiat.

— Gdzie są ludzie? — spytał grzecznie Mały Książę.

Obok tego kwiatu przeszła kiedyś karawana.

— Ludzie? Istnieje ich sześciu lub siedmiu, jak sądzę. Widziałem ich lata temu. Ale nigdy nie wiadomo, gdzie ich szukać. Wiatr nimi miota. Nie mają korzeni, to ich bardzo ogranicza.

— Żegnaj — powiedział Mały Książę.

— Żegnaj — odrzekł kwiat.

XIX

Mały Książę wszedł na wysoką górę. Jedynymi górami, jakie dotychczas znał, były trzy wulkany, które sięgały mu do kolan. A wygasły wulkan służył mu za taboret. „Z tak wysokiej góry — pomyślał — zobaczę od razu całą planetę i wszystkich ludzi...” Ale zobaczył jedynie ostre igły skalne.

— Dzień dobry — powiedział na wszelki wypadek.

— Dzień dobry... Dzień dobry... Dzień dobry... — odpowiedziało echo.

— Kim jesteście? — spytał Mały Książę.

— Kim jesteście... Kim jesteście... Kim jesteście... — odpowiedziało echo.

— Zostańcie moimi przyjaciółmi, jestem samotny — powiedział.

— Jestem samotny... jestem samotny... jestem samotny... — odpowiedziało echo.

„Cóż za dziwna planeta — pomyślał wtedy. — Zupełnie sucha, szpiczasta i zasolona. A ludziom brak wyobraźni. Powtarzają to, co się do nich mówi... Na mojej planecie miałem różę, zawsze odzywała się pierwsza...”

XX

Po długiej wędrówce przez piaski, skały i śniegi Mały Książę znalazł w końcu drogę. A drogi zawsze prowadzą do ludzi.

— Dzień dobry — powiedział.

Miał przed sobą ogród różany.

— Dzień dobry — odpowiedziały róże.

Mały Książę przyjrzał się im. Wszystkie były podobne do jego kwiatu.

— Kim jesteście? — zapytał, osłupiały.

— Jesteśmy różami — powiedziały róże.

— Ojej! — zawołał Mały Książę.

I poczuł się bardzo nieszczęśliwy. Jego róża powiedziała mu, że nie ma drugiego takiego kwiatu jak ona we wszechświecie. A tutaj było ich pięć tysięcy w jednym ogrodzie, i wszystkie podobne do siebie!

„Okropnie by się rozgniewała, gdyby to zobaczyła... — pomyślał. — Zaczęłyby mocno kaszleć i udawałyby umierającą, żeby uniknąć śmieszności... A ja byłbym zmuszony ją pielęgnować, bo w przeciwnym razie, aby i mnie upokorzyć, naprawdę doprowadziłyby się do śmierci...”

Potem jeszcze pomyślał: „Sądziłem, że jestem bogaty, bo mam wyjątkowy kwiat, a mam tylko zwyczajną różę. Ją i trzy wulkany, które sięgają mi do kolan, przy czym jeden wygasł być może już na zawsze. To chyba nie czyni ze mnie wielkiego księcia...”

I położył się na trawie, i zapłakał.

XXI

Wtedy pojawił się lis.

— Dzień dobry — powiedział lis.

— Dzień dobry — odpowiedział grzecznie Mały Książę. Odwrócił się, ale niczego nie zobaczył.

— Tu jestem — zabrzmiał głos — pod jabłonią...

— Kim jesteś? — spytał Mały Książę. — Jesteś bardzo ładny...

— Jestem lisem — odparł lis.

— Chodź pobawić się ze mną — zaproponował Mały Książę. — Jestem taki smutny...

— Nie mogę się z tobą bawić — powiedział lis. — Nie jestem oswojony.

— Ach, przepraszam — powiedział Mały Książę, lecz po zastanowieniu dodał: — Co to znaczy „oswoić”?

— Nie jesteś stąd — powiedział lis. — Czego szukasz?

— Szukam ludzi — powiedział Mały Książę. — Co to znaczy „oswoić”?

— Ludzie mają strzelby i polują — powiedział lis. — To bardzo przykre! Hodują również kury i tylko to jest w nich interesujące. Czy szukasz kur?

— Nie — odparł Mały Książę. — Szukam przyjaciół. Co to znaczy „oswoić”?

— To rzecz, o której niestety zapomniano — powiedział lis. — To znaczy „stworzyć więzi”.

— Stworzyć więzi?

— Naturalnie — powiedział lis. — Na razie jesteś dla mnie chłopcem podobnym do stu tysięcy innych chłopców. I wcale cię nie potrzebuję. Ty też mnie nie potrzebujesz. Jestem dla ciebie tylko lisem podobnym do stu tysięcy innych lisów. Jeżeli jednak mnie oswoisz, będziemy sobie wzajemnie potrzebni. Będiesz dla mnie jedyny na świecie. I ja będę dla ciebie jedyny na świecie...

— Zaczynam coś rozumieć — powiedział Mały Książę. — Jest taka róża... wydaje mi się, że mnie oswoiła...

— Możliwe — powiedział lis. — Na Ziemi spotyka się przeróżne rzeczy...

— O, tu nie chodzi o Ziemię — powiedział Mały Książę.

Lisa najwyraźniej bardzo to zaintrygowało:

— Na innej planecie?

— Tak.

— Czy na tej planecie są myśliwi?

— Nie.

— O, to dobrze! A kury?

— Nie.

— Nic nie jest doskonałe — westchnął lis, po czym wrócił do tematu. — Moje życie jest monotonne. Poluję na kury, a ludzie polują na mnie. Wszystkie kury są do siebie podobne i wszyscy ludzie są do siebie podobni. Trochę się więc nudzę. Jeżeli jednak mnie oswoisz, moje życie będzie jakby opromienione słońcem. Stukot twoich kroków

będzie dla mnie brzmiał inaczej od wszystkich innych. Te inne wpędzają mnie pod ziemię. Twoje będą wywabiać mnie z jamy jak muzyka. Poza tym: spójrz! Widzisz tam pole pszenicy? Nie jadam chleba. Pszenica jest mi niepotrzebna. Pszeniczne pola z niczym mi się nie kojarzą. I to jest smutne! Ale ty masz złote włosy. Kiedy mnie oswoisz, będzie cudownie! Pszenica jest złocista i będzie mi ciebie przypominać. Pokocham szum wiatru w zbożu...

Lis zamilkł i spojrzał przeciągle na Małego Księcia.

— Proszę... oswój mnie — powiedział.

— Chętnie — odparł Mały Książę — ale nie mam wiele czasu. Muszę jeszcze znaleźć przyjaciół i poznać mnóstwo rzeczy.

— Można poznać tylko te rzeczy, które się oswoi — powiedział lis. — Ludzie nie mają czasu na poznawanie czegokolwiek. Kupują gotowe rzeczy w sklepach. Ponieważ jednak nie istnieją sklepy z przyjaciółmi, ludzie nie mają już przyjaciół. Jeśli chcesz mieć przyjaciela, oswój mnie!

— Jak to zrobić? — spytał Mały Książę.

— Trzeba okazać wiele cierpliwości — odparł lis. — Na początek usiądziesz w pewnej odległości ode mnie, o tak, na trawie. Będę na ciebie popatrywał kątem oka, a ty nie będziesz nic mówił. Język jest źródłem nieporozumień. Ale każdego dnia będziesz mógł usiąść trochę bliżej...

Mały Książę wrócił nazajutrz.

— Szkoda, że nie wróciłeś o tej samej porze. Jeżeli przyjdiesz, dajmy na to, o czwartej po południu, już od trzeciej zacznę odczuwać szczęście. Czas będzie upływał, a ja będę coraz szczęśliwszy. O czwartej zacznę się wiercić i niepokoić: poznam cenę szczęścia! Jeżeli jednak będziesz przychodzić o dowolnej porze, nigdy nie będę wiedział, na którą godzinę mam przygotować swe serce... Rytuały są niezbędne.

— Co to jest rytuał? — spytał Mały Książę.

— To również jest coś, co niestety popadło w zapomnienie — powiedział lis. — Coś, co sprawia, że dany dzień różni się od innych dni, a godzina od innych godzin. Na przykład wśród moich myśliwych istnieje pewien rytuał. W czwartki idą potańczyć z dziewczętami z wioski. No i czwartek to cudowny dzień! Wypuszczam się wtedy na spacer aż po winnicę. Gdyby myśliwi szli na potańcówkę byle kiedy, każdy dzień byłby podobny do innych, a ja w ogóle nie miałbym wakacji.

I tak Mały Książę oswoił lisa. A kiedy nadeszła pora odjazdu, lis powiedział:

— Ach! Będę za tobą płakał.

— To twoja wina — powiedział Mały Książę. — Nie chciałem cię krzywdzić, ale ty zapragnąłeś, żebym cię oswoił.

— Oczywiście — powiedział lis.

— Ale teraz będziesz płakał!

— Oczywiście.

— Czyli nic na tym nie zyskałeś!

— Zyskałem z powodu koloru pszenicy — powiedział lis. A potem dodał: — Idź jeszcze raz popatrzeć na róże. Zrozumiesz, że ta twoja jest jedyna na świecie. Potem wrócisz się ze mną pożegnać, a ja podaruję ci pewien sekret.

Mały Książę poszedł jeszcze raz popatrzeć na róże.

— Wcale nie jesteście podobne do mojej róży, nic jeszcze nie znaczą — powiedział im. — Nikt was nie oswoił i wy nikogo nie oswoiliście. Jesteście takie, jaki dawniej był mój lis. Był po prostu lisem podobnym do stu tysięcy innych lisów. Ale uczyniłem go swoim przyjacielem i teraz jest jedyny na świecie.

Róże mocno się zawstydzily.

— Jesteście piękne, ale puste — dodał. — Za was nie oddałoby się życia. Oczywiście zwykły spacerowicz pomyślałby o mojej róży, że jest podobna do was. Ale ta jedna róża jest ważniejsza niż wy wszystkie, bo to ją podlewałem. Bo to ją umieściłem pod kloszem. Bo to ją chroniłem za parawanem. Bo to dla niej zabijałem gąsienice (oprócz dwóch lub trzech, żeby mieć motyle). Bo to jej słuchałem, kiedy się skarżyła lub przechwalała, a nawet czasami milczała. Bo jest moją różą.

Mały Książę wrócił do lisa.

— Żegnaj — powiedział.

— Żegnaj — odparł lis. — A oto mój sekret. Jest bardzo prosty: dobrze widzi się tylko sercem. To, co najważniejsze, jest niewidoczne dla oczu.

— To, co najważniejsze, jest niewidoczne dla oczu — powtórzył Mały Książę, żeby zapamiętać.

— Czas, który poświęciłeś swojej róży, czyni ją tak ważną.

— Czas, który poświęciłem mojej róży... — powtórzył Mały Książę, żeby zapamiętać.

— Ludzie zapomnieli o tej prawdzie — powiedział lis. — Ale tobie nie wolno o niej zapomnieć. Na zawsze bierzesz odpowiedzialność za to, co oswoiłeś. Jesteś odpowiedzialny za swoją różę...

— Jestem odpowiedzialny za moją różę... — powtórzył Mały Książę, żeby zapamiętać.

XXII

— Dzień dobry — powiedział Mały Książę.

— Dzień dobry — powiedział dróżnik.

— Co tu robisz? — zapytał Mały Książę.

— Sortuję podróżnych na pakiety po tysiąc osób — powiedział dróżnik. — Wysyłam pociągi, które ich wywożą raz na prawo, raz na lewo.

W tym momencie oświetlony ekspres, hucząc jak grzmot, wprowadził w drżenie budkę dróżnika.

— Bardzo się im spieszy — zauważył Mały Książę. — Dokąd tak pędzą?

— Tego nie wie nawet maszynista — powiedział dróżnik.

I wtedy zahuczał drugi oświetlony ekspres, jadący w przeciwną stronę.

— Już wracają? — spytał Mały Książę.

— To nie ci sami — powiedział dróżnik. — Wymieniają się.

— Nie podobało im się tam, gdzie byli?

— Nikomu nie podoba się tam, gdzie jest — powiedział dróżnik.

W tym momencie zahuczał grzmot trzeciego oświetlonego ekspresu.

— Czy ścigają tych pierwszych podróżnych? — spytał Mały Książę.

— Nikogo nie ścigają — odpowiedział dróżnik. — Tam w środku wszyscy albo śpią, albo ziewają. Jedynie dzieci rozplaszczają nosy na szybach.

— Jedynie dzieci wiedzą, czego szukają — zauważył Mały Książę. — Tracą czas na szmacianą lalkę i ta lalka staje się dla nich bardzo ważna, i jeśli ktoś im ją zabierze, płaczą...

— Szczęściarze z nich — powiedział dróżnik.

XXIII

— Dzień dobry — powiedział Mały Książę.

— Dzień dobry — powiedział sprzedawca.

Był to sprzedawca udoskonalonych tabletek, które gaszą pragnienie. Zażywa się jedną na tydzień i to wystarczy, żeby już nie chciało się pić.

— Po co to sprzedajesz? — spytał Mały Książę.

— To wielka oszczędność czasu — powiedział sprzedawca. — Specjaliści to wyliczyli. Oszczędza się pięćdziesiąt trzy minuty tygodniowo.

— I co się robi z tymi pięćdziesięcioma trzema minutami?

— To, co się komu podoba...

„Gdybym to ja miał pięćdziesiąt trzy minuty do wykorzystania — pomyślał Mały Książę — poszedłbym wolniutkim krokiem do studni...”

XXIV

Był to już ósmy dzień awarii, która rzuciła mnie na pustynię, a słuchając historii o sprzedawcy, wypilem ostatnią kroplę z zapasu wody.

— Ach, przyjemne są te twoje wspomnienia — powiedziałem Małemu Księżu — ale jeszcze nie naprawilem samolotu, nie mam już nic do picia i też byłbym szczęśliwy, gdybym mógł pójść wolniutkim krokiem do studni!

— Mój przyjaciel lis... — zaczął.

— Mój chłopcze, nie ma już co mówić o lisie!

— Dlaczego?

— Dlatego, że umrzemy z pragnienia...

Moje rozumowanie nie trafiło do niego i odpowiedział:

— Dobrze jest mieć przyjaciela, nawet jeżeli ma się umrzeć. Co do mnie, bardzo się cieszę, że miałem lisa za przyjaciela...

„On nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa — pomyślałem. — Nigdy nie chce mu się jeść ani pić. Wystarczy mu odrobina słońca...”

On jednak popatrzył na mnie i odpowiedział na moje myśli:

— Mnie też chce się pić... poszukajmy studni...

Machnąłem ręką ze znużeniem: to absurd szukać po omacku studni w bezkresie pustyni. Mimo wszystko ruszyliśmy w drogę.

Szliśmy wiele godzin, zapadła noc i zapłonęły gwiazdy. Widziałem je jak we śnie, ponieważ miałem lekką gorączkę z powodu odwodnienia. W pamięci tańczyły mi słowa Małego Księcia:

— A więc ty też odczuwasz pragnienie? — spytałem go.

Nie odpowiedział na moje pytanie. Powiedział po prostu:

— Woda też może być dobra dla serca.

Nie zrozumiałem, co ma na myśli, ale się nie odezwałem... Dobrze wiedziałem, że nie należy zasypywać go pytaniami.

Był zmęczony. Usiadł. A ja przy nim. Po chwili milczenia powiedział jeszcze:

— Gwiazdy są piękne z powodu róży, której nie widać...

Odpowiedziałem: „Oczywiście” i patrzyłem w milczeniu na zmarszczki na piasku w świetle księżyca.

— Pustynia jest piękna — dodał.

To była prawda. Zawsze lubiłem pustynię. Siadasz na wydmie. Nic nie widać. Nic nie słychać. A jednak w ciszy coś promieniuje...

— Piękna dodaje pustyni fakt, że skrywa gdzieś studnię — powiedział Mały Książę.

Ze zdziwieniem zrozumiałem nagle to tajemnicze promieniowanie piasku. Kiedy byłem małym chłopcem, mieszkałem w starym domu, w którym, jak chciała legenda, był zakopany skarb. Oczywiście nikt go nigdy nie odkrył, a może nawet nie szukał. A jednak cały dom był przez to jak zaczarowany. Mój dom gdzieś tam w samym środku skrywał tajemnicę...

— Słusznie — powiedziałem do Małego Księcia — nieważne, czy chodzi o dom, o gwiazdy, czy o pustynię, to, co czyni je pięknymi, jest niewidoczne!

— Cieszę się — powiedział — że jesteś tego samego zdania, co mój lis.

Ponieważ Mały Książę zasypiał, wziąłem go na ręce i szedłem dalej. Byłem wzruszony. Miałem wrażenie, że niosę kruchy skarb. Więcej nawet, miałem wrażenie, że niosę najbardziej kruchy skarb na Ziemi. Patrzyłem w świetle księżyca na to blade czoło, na te przymknięte oczy, na kosmyki powiewające na wietrze i myślałem: „Widzę tylko zewnętrzną powłokę. To, co najważniejsze, jest niewidoczne...”.

Ponieważ na jego rozchylonych ustach rysowało się coś na kształt uśmiechu, powiedziałem sobie jeszcze w duchu: „W tym uśpionym małym książątku najbardziej wzrusza mnie jego wierność wobec pewnego kwiatu, obraz róży, która promieniuje w nim jak płomień lampy, nawet kiedy śpi...”. Zrozumiałem, że jest jeszcze bardziej bezbronny, niż sądziłem. Lampa potrzebuje, by ją chronić: może ją zgasić powiew wiatru...

W ten sposób, idąc przed siebie, o wschodzie słońca trafiłem na studnię.

— Ludzie pakują się do pociągów ekspresowych — powiedział Mały Książę — ale sami nie wiedzą, czego szukają. Dlatego miotają się i kręcą w kółko...

I dodał:

— Nie warto...

Studnia, do której doszliśmy, była niepodobna do studni saharyjskich. Studnie saharyjskie to zwykłe dziury wywiercone w piasku. Ta wyglądała na studnię służącą całej wsi. Ale wsi nie było, a ja miałem wrażenie, że śnię.

— Dziwna rzecz — powiedziałem do Małego Księcia — wszystko jest gotowe: blok, wiadro i sznur...

Zaśmiał się, wziął do ręki sznur, wprawił blok w ruch.

A blok zajęczał jak stara chorągiewka na dachu, kiedy wiatr budzi się z długiego snu.

— Słyszysz, zbudziliśmy tę studnię i śpiewa — powiedział Mały Książę.

Nie chciałem, żeby się męczył.

— Pozwól, że to zrobię — powiedziałem — to dla ciebie za ciężkie.

Powoli wciągnąłem wiadro aż na cembrowinę. Ustawiłem je równo. W uszach wciąż mi brzmiał śpiew bloku, a w wodzie, która jeszcze drżała, widziałem drgające słońce.

— Jestem spragniony tej wody — powiedział Mały Książę — daj mi pić.

A ja zrozumiałem, czego szukał!

Podsunałem mu wiadro do ust. Pił, nie otwierając oczu. Spokojnie, jakby coś świętował. Ta woda była zdecydowanie czymś więcej niż tylko napojem. Powstała z marszu pod gwiazdami, ze śpiewu bloku, z wysiłku moich ramion. Była miła sercu jak prezent. Kiedy byłem małym chłopcem, światełka na choince, kolędy w czasie pasterki i kojące uśmiechy dodawały podobnego blasku podarkom, które mi dawano.

— Tam, skąd jesteś, ludzie uprawiają po pięć tysięcy róż w jednym ogrodzie — powiedział Mały Książę — a i tak nie znajdują w nich tego, czego szukają...

— Nie znajdują — potwierdziłem.

— A przecież to, czego szukają, można by znaleźć w jednej róży albo w odrobinie wody...

— Oczywiście — odpowiedziałem.

Mały Książę powiedział jeszcze:

— Lecz oczy są ślepe. Trzeba szukać sercem.

Napiłem się. Oddychałem głęboko. Piasek ma o świcie kolor miodu. Ten miodowy kolor również mnie uszczęśliwiał. Ale dlaczego po tym szczęściu musiał przyjść smutek...

— Powinieneś dotrzymać obietnicy — powiedział cicho Mały Książę, który znowu usiadł przy mnie.

— Jakiej obietnicy?

— Pamiętasz... kaganiec dla mojego baranka... jestem odpowiedzialny za tę różę!

Wyjąłem z kieszeni moje niedopracowane rysunki. Mały Książę zobaczył je i powiedział ze śmiechem:

— Twoje baobaby przypominają trochę kapustę!

— Ooo!

Byłem tak dumny z tych baobabów!

— Twój lis... te uszy... przypominają trochę rogi... i są za długie!

I śmiał się dalej.

— Jesteś niesprawiedliwy, mój mały, kiedyś potrafiłem rysować tylko zamknięte boa i otwarte boa.

— Ach, to wystarczy, dzieci je zrozumieją.

Narysowałem więc kaganiec. Serce mi się ścisnęło, kiedy mu go podawałem:

— Planujesz coś, o czym nie wiem...

Nie odpowiedział mi jednak.

— Wiesz, jeśli chodzi o moje lądowanie na Ziemi... jutro będzie rocznica... — powiedział. Pomilczał chwilę, po czym dodał: — Spadłem niedaleko stąd...

I zaczerwienił się.

A ja znowu, nie rozumiejąc dlaczego, poczułem dziwny smutek. Przyszło mi jednak do głowy pewne pytanie:

— A zatem to nie przez przypadek tamtego ranka osiem dni temu, kiedy cię poznałem, spacerowałaś sobie sam, tysiąc mil od zamieszkałych terenów? Byłeś w drodze powrotnej do miejsca, w którym spadłeś?

Mały Książę jeszcze bardziej się zaczerwienił.

Dodałem z wahaniem:

— Być może z powodu tej rocznicy?

Mały Książę znowu poczerwieniał. Nigdy nie odpowiadał na pytania, ale kiedy ktoś się czerwieni, to znaczy „tak”, prawda?

— Och, boję się... — powiedziałem.

Tym razem mi odpowiedział:

— Teraz musisz zająć się pracą. Musisz wrócić do swojego samolotu. Poczekam tu na ciebie. Przyjdź tu jutro wieczorem...

To jednak mnie nie uspokoiło. Przypomniałem sobie lisa. Kiedy ktoś dał się oswoić, może się zdarzyć, że będzie musiał trochę popłakać.

XXVI

Obok studni wznosiły się ruiny starego, kamiennego muru. Kiedy nazajutrz wieczorem wróciłem po pracy, już z daleka zobaczyłem mojego Małego Księcia, jak siedzi z nogami zwieszonymi z muru. Usłyszałem, jak mówi:

— Czyli nie przypominasz sobie? To nie było dokładnie tutaj!

Ktoś musiał mu coś odpowiedzieć, bo zareagował:

— Ależ tak! Tak! Dzień się zgadza, ale nie miejsce...

Byłem coraz bliżej muru. Nadal nikogo nie widziałem. A jednak Mały Książę znowu odpowiedział na czyjeś słowa:

— Oczywiście. Zobaczysz, gdzie zaczynają się moje ślady na piasku. Poczekaj tam na mnie. Przyjdę dziś w nocy.

Od muru dzieliło mnie dwadzieścia metrów, a jednak nadal nic nie widziałem.

Po chwili milczenia Mały Książę powiedział jeszcze:

— Czy twój jad jest silny? Jesteś pewien, że nie będę długo cierpiał?

Przystanąłem ze ściśniętym sercem, ciągle jeszcze nic z tego nie rozumiejąc.

— Teraz już idź — powiedział. — Chcę zejść!

Wtedy i ja spojrzałem w dół, na podstawę muru, i aż odskoczyłem! W stronę Małego Księcia wyciągał się żółty wąż z gatunku tych, które zabijają w ciągu trzydziestu sekund. Zacząłem biec, szukając w kieszeni rewolweru, ale wąż mnie usłyszał i powoli wtopił się w piasek jak zanikająca struga wody, po czym niespiesznie prześliznął się z metalicznym szelestem między kamieniami.

Znalazłem się pod murem akurat na czas, by złapać w ramiona moje małe książątko, blade jak śnieg.

— Cóż to znowu za historia! Rozmawiasz teraz z węzami?

Odwinąłem złoty szalik, z którym się nie rozstawał. Zwilżyłem mu skronie i dałem pić. Nie miałem już odwagi o cokolwiek go pytać. Spojrzał na mnie z powagą i zarzucił

mi ramiona na szyję. Czułem jego serce bijące jak u umierającego ptaka, trafionego z karabinu. Powiedział:

— Cieszę się, że już wiesz, co nie działało w twoim samolocie. Będiesz mógł wrócić do siebie...

— Skąd wiesz?

Przyszedłem właśnie po to, żeby mu oznajmić, że wbrew wszelkim oczekiwaniom naprawa się udała!

Nie odpowiedział na moje pytanie, ale dodał:

— Ja też dzisiaj wrócę do siebie... — A po chwili rzucił ze smutkiem: — To znacznie dalej... i droga znacznie trudniejsza...

Czułem, że dzieje się coś niezwykłego. Ścisnąłem go w ramionach jak małe dziecko, a mimo to miałem wrażenie, że on jakby spada pionowo w przepaść i że nie mogę zrobić nic, aby go utrzymać...

Wzrok miał bardzo poważny, błędził nim gdzieś daleko.

— Mam twojego baranka. I skrzynkę dla baranka. I mam kaganiec...

Uśmiechnął się smutno. Odczekałem dłuższą chwilę. Czułem, że powoli się ogrzewa.

— Chłopczyku, przestraszyłeś się...

Oczywiście, że się przestraszył!

On jednak zaśmiał się cicho.

— Dziś wieczorem jeszcze bardziej będę się bał...

Poczucie nieuchronności znowu ścięło mi krew w żyłach. Zrozumiałem, jak niezdolna jest dla mnie myśl, że już nigdy nie usłyszę jego śmiechu. Był dla mnie jak studnia na pustyni.

— Chłopczyku, chcę znowu słyszeć twój śmiech.

On jednak powiedział:

— Dziś w nocy minie rok. Moja gwiazda znajdzie się dokładnie nad miejscem, w którym spadłem w zeszłym roku...

— Chłopczyku, powiedz, że ta historia z wężem, umówionym spotkaniem i gwiazdą to tylko zły sen...

Ale on nie zareagował na moje słowa, tylko powiedział:

— To, co najważniejsze, jest niewidoczne...

— Oczywiście.

— Tak samo jest z kwiatem. Jeżeli kochasz kwiat, który znajduje się na jakiejś gwiazdzie, lubisz nocą oglądać niebo. Na wszystkich gwiazdach są kwiaty.

— Oczywiście.

— Tak samo jest z wodą. Woda, którą dałeś mi do picia, była jak muzyka — z powodu bloku i liny, pamiętasz... była tak dobra.

— Oczywiście...

— Nocą będziesz oglądał gwiazdy. Moja jest zbyt mała, żebym mógł ci pokazać, gdzie się znajduje. I tak jest lepiej. Moja gwiazda będzie dla ciebie jedną z wielu. A więc będziesz lubił oglądać wszystkie gwiazdy... Każda będzie twoją przyjaciółką. Poza tym dostaniesz ode mnie prezent...

Znowu się zaśmiał.

— Och, chłopczyku, mój mały chłopczyku, jak ja lubię, gdy się śmiejesz!

— To właśnie będzie mój prezent... tak jak z wodą...

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Ludzie miewają różne gwiazdy. Dla tych, którzy podróżują, gwiazdy to przewodniczki. Dla innych to jedynie małe światełka. Dla jeszcze innych, którzy są uczeni, co gwiazda, to zagadnienie. Dla mojego biznesmena gwiazdy to złoto. Ale wszystkie te gwiazdy milczą. Ty będziesz miał gwiazdy, jakich nie ma nikt...

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Ponieważ będę mieszkał i się śmiał na jednej z nich, kiedy spojrzysz nocą w niebo, wszystkie gwiazdy będą się śmiały do ciebie. Ty, akurat ty, będziesz miał gwiazdy, które potrafią się śmiać.

I znów się zaśmiał.

— A kiedy się pocieszysz (każdy znajduje w końcu pocieszenie), będziesz zadowolony, że mnie znałeś. Zawsze będziesz moim przyjacielem. Będziesz miał ochotę śmiać się ze mną. I czasami otworzysz okno, tak po prostu, dla przyjemności... Twoi znajomi będą się dziwić, że się śmiejesz, patrząc na niebo. Wtedy im powiesz: „Tak, gwiazdy zawsze mnie rozśmieszają!” A oni pomyślą, że zwariowałeś. Zrobię ci niezłego psikus.

I znów się zaśmiał.

— To tak, jakbym zamiast gwiazd podarował ci całe góry dzwonków, które potrafią się śmiać...

I jeszcze się zaśmiał. A potem znów spowaźniał.

— Wiesz... nie przychodź tej nocy.

— Nie opuszczę cię.

— Będę wyglądał tak, jakbym cierpiał... trochę jakbym umierał. Po prostu tak będzie. Nie przychodź tego oglądać, nie warto.

— Nie opuszczę cię.

On jednak był zmartwiony.

— Mówię ci o tym... również z powodu węża. Chodzi o to, żeby cię nie ukąsił... Węże są złośliwe. Potrafią ukąsić dla przyjemności...

— Nie opuszczę cię.

Jakaś myśl dodała mu otuchy:

— To prawda, że nie wystarcza im jadu na drugie ukąszenie...

Tej nocy przeoczyłem moment, kiedy ruszył w drogę. Wymknął się bezszelestnie. Kiedy zdołałem go dogonić, szedł zdecydowanym, szybkim krokiem. Powiedział tylko:

— Ach, jesteś...

I wziął mnie za rękę. Ale coś go jeszcze gnębiło:

— Niesłusznie postąpiłeś. Będzie ci przykro. Będę wyglądał na umarłego, a to nie będzie prawda...

Nic nie powiedziałem.

— Zrozum. To za daleko. Nie mogę tam zabrać tego ciała. Jest za ciężkie.

Nic nie powiedziałem.

— Ono będzie jak stara, porzucona łupina. W porzuconej łupinie nie ma nic smutnego...

Nic nie powiedziałem.

Trochę się zniechęcił. Ale zdobył się na jeszcze jeden wysiłek:

— Wiesz, to się odbędzie spokojnie. Ja też będę patrzył w gwiazdy. Wszystkie gwiazdy będą jak studnie z zardzewiałym blokiem. Wszystkie gwiazdy dadzą mi pić...

Nic nie powiedziałem.

— Będzie tak zabawnie! Ty będziesz miał pięćset milionów dzwonków, ja będę miał pięćset milionów studni...

I też zamilkł, bo płakał...

— To tu. Pozwól, że sam zrobię ten krok.

Usiadł jednak, ponieważ się bał.

— Wiesz... moja róża... jestem za nią odpowiedzialny! A ona jest tak słaba! I tak naiwna. Ma zaledwie cztery małe kolce, żeby się bronić przed światem...

Ja też usiadłem, bo nie mogłem już utrzymać się na nogach.

— Tak... To wszystko — powiedział.

Jeszcze chwilę się wahał, po czym wstał. Zrobił krok. Ja nie mogłem się ruszyć. Coś żółtego mignęło koło jego kostki, nic więcej. Przez moment stał nieruchomo. Nie krzyknął. Upadł powoli, jak pada drzewo. Bezszelestnie — z powodu piasku.

XXVII

Minęło już sześć lat... Nigdy jeszcze nie opowiedziałem tej historii. Koledzy na mój widok ucieszyli się, że wróciłem żywy. Byłem smutny, ale im mówiłem:

— To zmęczenie...

Teraz trochę się pocieszyłem. To znaczy... niezupełnie. Wiem, że wrócił na swoją planetę, bo o wschodzie słońca nie znalazłem jego ciała. To nie było ciężkie ciało... A nocą lubię słuchać gwiazd. Są jak pięćset milionów dzwoneczków...

Dzieje się jednak coś niezwykłego. Do kagańca, który narysowałem dla Małego Księcia, zapomniałem dodać skórzany pasek! Niemożliwe, żeby założył go barankowi. Zastanawiam się więc: co się wydarzyło na jego planecie? Możliwe, że baranek zjadł różę...

Czasem mówię sobie: „Na pewno nie! Mały Książę co noc chowa swoją różę pod kloszem i pilnuje baranka...”. Wtedy jestem szczęśliwy. A gwiazdy śmieją się cicho.

Kiedy indziej myślę: „Wystarczy chwila nieuwagi i już po wszystkim! Mógł zapomnieć któregoś wieczoru o szklanym kloszu albo baranek wymknął się cichuteńko nocą”. I wtedy dzwonki stają się łzami!...

Wielka to tajemnica. Dla was, którzy również kochacie Małego Księcia, jak i dla mnie świat wygląda zupełnie inaczej w zależności od tego, czy gdzieś tam, nie wiadomo gdzie, baranek, którego nie znamy, zjadł pewną różę, czy też nie...

Spójrzcie w niebo. Zapytajcie sami siebie: „Czy baranek zjadł różę, czy nie?”. Zobaczycie, jak wszystko się zmieni...

A żaden dorosły nigdy nie zrozumie, że to naprawdę bardzo ważne!

A to jest według mnie najpiękniejszy i najsmutniejszy krajobraz na świecie. Ten sam co na poprzedniej stronie, ale narysowałem go jeszcze raz, żeby go wam dobrze pokazać. W tym właśnie miejscu Mały Książę zjawił się na Ziemi i stąd zniknął.

Przyjrzyjcie się uważnie temu krajobrazowi, abyście na pewno go rozpoznali, jeśli pewnego dnia pojedziecie do Afryki, na pustynię. Gdybyście więc tamtędy przechodzili, to błagam, nie spieszcie się, poczekajcie przez chwilę dokładnie pod tą gwiazdą! Jeżeli

podejdzie wtedy do was śmiejący się chłopiec, jeżeli będzie miał złote włosy i nie będzie odpowiadał na zadawane pytania, łatwo zgadniecie, kto to taki. A wtedy bądźcie tak mili i nie pozwólcie mi dłużej się smucić: napiszcie do mnie szybko, że wrócił...

Przeczytaj także:

Mały książę – Streszczenie szczegółowe

Mały książę – Streszczenie krótkie

Mały książę – Plan wydarzeń

Mały książę – Charakterystyka bohaterów

Mały książę – Czas i miejsce akcji

Mały książę – Geneza i gatunek utworu

Mały książę – Problematyka utworu

Mały książę – Biografia autora

Utwór znajduje się w domenie publicznej. Masz prawo do jego wykorzystywania, publikowania i rozpowszechniania.

Tekst opracowany na podstawie: Antoine de Saint-Exupéry, Mały książę, tłum. Agata Kozak, wyd. I, Fundacja Nowoczesna Polska 2021.